

**hanka grupińska**  
12 opowieści żydowskich



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

# Nie uciekłam, tylko poszłam przed siebie

Salomea albo Sabina Gemrot, wnuczka węgierskiego Żyda Strahla z Przybyszówki koło Rzeszowa. Miała dziewięćdziesiąt pięć lat, kiedy oddała swoją historię do żydowskiego archiwum. Mówiła emocjonalnie i język krasała galicyjskimi regionalizmami. Opowiadała, że rodzice byli tolerancyjni i religijni. Że w domu był *sztibl*<sup>\*</sup>, a ksiądz do ojca na karty przychodził. Że uczyła się bielizniarstwa, krawiectwa, kompozycji stroju, jak zrobić kapelusz, no i różne rodzaje haftu poznała. Że potem uratowała z getta Malinkę i znalazła sobie pracę u Niemca w Niepołomicach. Była zaradna. Po wojnie też. Walczyła o mieszkanie, o dzieci, o swoją rodzinę. Ale uraz miała. I jak przychodziły listy z żydowskiej instytucji, to bez pieczętki, żeby sąsiedzi nie wiedzieli. A i tak za dziećmi wołano. Od roku 1948 mieszkała w Wieliczce z rodziną. Zmarła 24 lutego 2008 roku w małym wielickim domu.

Nazywam się Salomea Gemrot i urodziłam się 15 listopada 1909 roku trzy kilometry od miasta Rzeszów, we wsi Przybyszówka. Tam trafił – ale ja nie wiem, w którym roku, bo to się działo na długo przedtem, zanim ja się urodziłam – jakiś Żyd z Węgier. Nazywał się Strahl. Był pierwszym Żydem w tej miejscowości. Niezwykle zaradny człowiek. Ożenił się, zakupił ziemię i tereny, które nadawały się pod cegielnię. Przez wieś przebiegała droga na Kraków, Tarnów. On po jednej stronie wybudował dom

---

\* *sztibl, sztibł* (jid.) – pokoik: salka modlitewna, najczęściej chasydzka

dla siebie i żony i taki obiekt, gdzie miał wytwórnnię spirytusu – gorzelnię. Po drugiej stronie drogi podmiejską restaurację prowadził, a w głębi, na tych polach, wybudował cegielnię. No i gospodarstwo rolne też miał.

Ale niestety długo to nie trwało, bo wybuchł pożar w tej gorzelni i spaliła się mu tam ta żona. Żywcem, tak. Dzieci nie miał, to znaczy może i miał, i zostawił gdzie na Węgrzech. Tego ja nie wiem. Strahl w Przybyszówce ożenił się po raz drugi i ja jestem jego wnuczką. Wiem, że ożenił się z jakąś panią z Ropczyc. Nazwiska nawet nie znam, ale miała na imię Amalia. On miał już wtedy pod sześćdziesiątkę, ona – osiemnaście lat i była sierotą. A u Żydów dawniej postanowione było, że sierotą miała obowiązek zająć się cała rodzina, która pozostała. Więc ją szybko wydali za mąż za tego właśnie Węgra – że był bogaty i tak dalej. No, małżeństwo to podobno było bardzo poprawne, bo pozostał dom pięknie urządzony, cegielnia prosperująca i gospodarstwo. Tak że ta pani, ta babcia moja, była chyba zadowolona. Zdążyła mieć kilkoro dzieci, w tym moją matkę. No niestety, moja matka, jak miała dziesięć lat, też została sierotą, bo mój dziadek umarł. Naturalną śmiercią. Musiał być stary.

Jeśli chodzi o dziadka ze strony ojca, to nie wiem za wiele. Wiem, że był urodzony w Kolbuszowej, miał na nazwisko Krieger i chyba był religijnym Żydem. Po śmierci tego dziadka babcia ze strony ojca mieszkała z nami w Przybyszówce i ta babcia to mnie właściwie wychowała. Miała zawsze do mnie cierpliwość i ona mnie tych religijnych spraw uczyła, i ona mnie wprowadzała w życie. Czytała Biblię bez okularów. (I ja też czytam bez okularów). A ta Biblia była ilustrowana częściowo. Taka duża księga, gruba. Jak były nabożeństwa w czasie świąt, to babcia mnie brała i trzymała za rękę. I zmuszała, żebym dobrze słuchała, i tłumaczyła mi, o co chodzi, która modlitwa ma jakie znaczenie. Babcia mnie bardzo pilnowała. „Mówiłaś ty rano modlitwę?” „Ee, babciu, nie mam czasu,

przecież wiesz, że coś innego muszę robić”. „No – mówi – żebyś miała jutro czas!” I potem, jak ta babcia umarła, to mama to samo robiła.

Ojciec miał trzech braci. Jeden był w Krakowie, jeden w Gorlicach i jeden w Głogowie. Brat w Krakowie nazywał się Majer Krieger. Miał żonę i dwie córki: Renię i Edzię. Był zarządcą domu dla starców żydowskich przy ulicy Krakowskiej 57. Ten zakład mieścił się w dużej, wolno stojącej kamienicy. Ogród był tam piękny, utrzymane pierwszorzędnie to wszystko. Ameryka, Austria utrzymywała to i w ogóle przysyłała pieniądze ze wszystkich stron, tak. Ja tam jeździłam dosyć często, pamiętam, to było nad Wisłą, ostatni dom. Ten dom Niemcy jako jeden z pierwszych zburzyli. I ten wujek pochował w Krakowie tę moją babcie, która mnie wychowywała, bo ona, jak zachorowała, to chciała u niego umrzeć.

Ten brat w Gorlicach był najstarszy, nazywał się Samuel i miał przeczną rodzinę, bardzo inteligentnych ludzi, wykształconych. Syn Samuela był adwokatem. Nazywał się Dawid Krieger. W Krakowie studia zrobił, i to wtedy, kiedy był ten numerus clausus. Ładny był bardzo i bardzo się spodobał tym profesorom. Córki – Helena i Maria – były nauczycielkami. Jedna i druga miała seminarium nauczycielskie, bo w Gorlicach nie było takiej nagonki na Żydów. Tam przyjmowali wszystkich, bez różnicy. To nie to co w Rzeszowie. Brat ojca z Głogowa miał na imię Zelman, a może Zalmen? Ten jeden nosił brodę i pejsy i on był najbiedniejszy. Chyba był szojchetem\*, rzezakiem. Miał żonę i dziecko – syna. Przychodził do nas, bo ten Głogów był niedaleko i ojciec go stale wspomagał.

Moja matka miała brata i dwie siostry. Jozef Strahl był najstarszy z rodzeństwa matki i mieszkał w Tarnowie. Ożeniony był z jakąś panią z Jarosławia, z takiej rodziny, która się muzyką

---

\* *sojchet* (jid.), *szochet* (hebr.) – rzezak rytualny

zajmowała. Nie wiem, ale chyba uczyli tej muzyki i wynajmowali się do grania. I ten brat miał dwóch synów i dwie córki. I wszystkie te dzieci były muzycznie uzdolnione. On sam zginął przed wojną w wypadku w cegielni. Jego syn Zygmunt był wirtuozem – skrzypkiem. Drugi syn został w Ameryce dentystą. Starsza córka tak jak ja się nazywa – Sabina. Uratowała się, bo miała bardzo zapobiegliwą matkę. Matka ją prędko wydała za mąż, za wdowca z Holandii, zanim ta zawierucha przyszła, a potem do Ameryki wyjechali. A ostatnio, od kilku lat, nie mam wiadomości od niej. Chyba nie żyje, bo przecież nie może żyć, jak była o rok starsza ode mnie...

Siostra matki, Maria, to była piękność na całą okolicę. I była uzdolniona artystycznie – umiała rysować. Ale ta Maria bardzo wcześnie umarła, bo była chora, psychicznie wyczerpana przez nieudane małżeństwo. Ojciec ją odwiózł do Wiednia, do kliniki na leczenie, w tej klinice zmarła i tam gdzieś jest pochowana. Wydaje mi się, że to było niedługo po ślubie moich rodziców. Nie wiem, kim była ta Maria, ale ona kolekcjonowała różne rzeczy, które dziś mają wartość artystyczną: różne sprzęty, przedmioty, trofea myśliwskie.

Druga siostra mamy, Berta, wyszła za mąż w Rzeszowie, a wtedy to tam była Austria, prawda? Więc w Rzeszowie była taka rodzina Sternszusów, bardzo taka zacna, elegancka, zasymilowana – oczywiście tak po niemiecku. No i z wielkiej miłości podobno jeden z tych Sternszusów z tą Bertą się ożenił. Potem oni zmienili nazwisko na Star. Osiedli się w Niemczech, w Kolonii nad Renem, i tam se otworzyli biznes taki sam, jak mieli w Rzeszowie, to znaczy skup na całą okolicę nabiału i wytworów mlecznych. Bardzo dobrze im się powodziło. Berta miała trzech synów. Jeden miał na imię Erich. I miała też córkę – Różę. A ta jej córka Róża Star – pianistka i sopran – była zaangażowana w teatrze w Kolonii i występowała jako solistka. Miała bardzo duże powodzenie, ale nie wyszła za mąż. Koło

Łodzi był taki obóz koncentracyjny, Chełmno nad Nerem. Tam ich wszystkich wywieźli. I Róża zginęła z tą swoją trupą teatralną.

Moja mama miała na imię Chana. Hanna Strahl. Nie wiem, w którym roku się urodziła, ale wiem, że ślub brała w 1900 roku, to musiała wtedy mieć dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, bo to tak dziewczyny wychodziły za mąż. Matka była bardzo pogodną osobą. Uchodziła za ładną bardzo. Miała wygląd nieżydowski. Nie nosiła peruki. Była wysoka i miała ciemne oczy. Włosy miała nie czarne i nie całkiem blondne, tylko takie – o, szatynka się mówiło. No i mama tutaj osiedliła się, w tym majątku po ojcu swoim, w Przybyszówce. Po śmierci ojca pomagała matce w gospodarstwie i utrzymywała kontakt z rodziną. Mieli kilkanaście mórg ziemi. Dość dużo. Na tym majątku była też ta cegielnia i matka pomagała swojej matce rozprowadzać te cegły. Pół Rzeszowa było zbudowane na tej cegle. I zawsze mi matka pokazywała: „To z naszej cegły, to z naszej...”. Ta cegielnia nazywała się Strahl, po nazwisku dziadka.

Mój ojciec nazywał się Eisig Krieger. Urodził się koło Kolbuszowej, w miejscowości Werynia. To jakaś wioska była. Nie wiem dokładnie, kiedy się urodził. Kiedy w 1900 roku się żenił z moją mamą, to miał jakieś dwadzieścia sześć lat. Ojciec był oczywiście przystojny i taki, no, obyty człowiek. Jak miał trzynaście lat, zabrała go bezdzietna znajoma jego rodziców do Anglii i on tam był ponad dziesięć lat. Ta znajoma wykształciła go, miał szkołę średnią i był księgowym. Świetnie poznał język angielski.

Jak wybuchła wojna bursko-angielska, to ojciec zajął tam jakieś stanowisko, jako księgowy. To był Kapsztad, Johannesburg – ja nie pamiętam, tylko te nazwy jakoś pozostały mi w pamięci. No i przetrwał tę wojnę w jakiejś kopalni złota w Afryce. Tam zachorował na żółtą febrę. I Anglicy zaproponowali mu, żeby przyjechał do Rzeszowa na leczenie. (To była Austria wtedy).

No przyjechał, wyleczyli go. Tu miał jeszcze rodziców, rodzeństwo. Tam w Anglii starali się, żeby powrócił, ale niestety – zobaczył moją matkę i nie było siły. Rodzice poznali się u dalszej rodziny ojca w Rzeszowie. Przypadkowo. (Jak się później okazało, ojca i matkę łączyło bardzo dalekie pokrewieństwo). I on od razu się zakochał. To było małżeństwo bez swatki, absolutnie. Mogli wyjechać, ale matka nie chciała jechać do Anglii, czego nie mogła potem przeżalować całe życie.

Rodzice mieli nas siedmioro. Mnie i moich pięciu braci, bo moja siostra Amalia, imię dostała po babci, urodziła się dopiero, kiedy ja miałam czternaście lat. Wszyscy urodziliśmy się w Przybyszówce i ja tam jeszcze chodziłam do szkoły, ale później rodzice przeprowadzili się do innej wsi, niedaleko, do Staroniwy. To też było jakieś trzy kilometry od Rzeszowa. Mój ojciec był bardzo świecki, zasymilowany, no trudno mu było być inaczej, jak on tyle lat był za granicą. Zawsze dobrze ubrany, nosił zarost taki krótki, ale żadnych pejsów ani nic takiego. Tolerancyjny ogromnie, matka zresztą też. Pilnował nas, żebyśmy tacy sami byli. Pamiętam, jak święta Bożego Narodzenia odprawiali polscy sąsiedzi. Był taki zwyczaj, że w sadach gromadzili się po wigilii, no i te drzewa opasywali słomą i jakieś obrzędy odprawiali. I myśmy tam podchodzili, i śmiali się. Ojciec nas skrzyczał: „Nie wolno takich rzeczy robić! Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! To jest ich obrzęd, ich sprawa! Przyjemnie by ci było, jakby twoje sprawy zostały ośmieszane?!”. Tak do nas mówił.

Matka też była tolerancyjna. Pamiętam, jak mi opowiadała, jak jeździła do Niemiec, do Kolonii, do swojej siostry na rekonwalescencję po chorobie. Była zachwycona współżyciem Niemców z Żydami. Na Nowy Rok mama moja dostała od przyjaciół Niemców gałąź bzu kwitnącego! (To był początek tego wieku, co przeszedł). Mama opowiadała, jak tam Żydzi byli szanowani, jak byli uważani za kategorię ludzi cywilizowanych. Jak ją

odprowadzali Niemcy, jak jechała do domu, to ją namawiali, żeby wszystko sprzedała i wyemigrowała z Polski. No to nie do wiary, co się potem stało! Skąd to się wzięło?

Ojciec był tłumaczem przysięgłym, chyba angielskiego. Znał też świetnie literacki język niemiecki. Oprócz tego przy sądzie było to ławnictwo, gdzie on zasiadał. Był bardzo szanowanym i znanym człowiekiem w Rzeszowie. Ojciec był też czytany. Przywiózł z Anglii całą bibliotekę. Miał Pięcioksiąg oprawiony w skórę – on stale studiował, jak miał czas. Oprócz tego – wszystkie dzieła Szekspira, oprawione w płótno niebieskie. Miał też dzieła klasyków niemieckich, w języku niemieckim. Ojciec bardzo dużo czytał polskich gazet politycznych, ale nie był w żadnej partii. Pamiętam dyskusje w domu z jego znajomymi na temat wojny japońsko-rosyjskiej.

Rodzice mieli duże gospodarstwo: ziemię, trzy krowy, dwa konie. Była służąca, ale ona głównie w gospodarstwie pomagała – miała krowy i kury w opiece. W kuchni mama sama gotowała. Kuchnia była koszerna. Absolutnie! Bo matka była bardzo religijna. Tradycje żydowskie były u nas przestrzegane. W domu rodzice pomiędzy sobą rozmawiali w jidysz, no. A dzieci rozumiały, naturalnie. Bracia mówili dobrze w tym języku, i oczywiście mówili po polsku, bo matka bardzo dbała o to, żebyśmy nie byli wyobcowani, jak już tu musimy żyć. Rodzice nie myśleli o wyjeździe do Palestyny. Ojciec uważał, że jest za stary, żeby zorganizować życie rodzinie. Pamiętam, że różne ekscesy antysemityczne się zdarzały i bardzo je przeżywałam. I zawsze mi się zdawało, że powinniśmy wyjechać i nie być wyobcowanymi.

Na Amalię, tą młodszą o czternaście lat siostrę, mówiliśmy Malinka. I miałam pięciu braci. Byłam podobna do babci, matki ojca. Bracia byli wdani w rodzinę matki i wszyscy byli wysocy. A ja najmniejsza. I oni mi z tego powodu zawsze w domu dokuczali. A rodzice mówili: „Dajcie jej spokój, ona będzie miała



rozum większy za to, będzie mądrzejsza”. A oni zawsze mnie prześladowali, siadali przy stole, zginali nogę w kolanie, czapkę wkładali na kolano i patrzyli na mnie, że taka mała jestem jak odległość od pięty do kolana.

Tak jak mama, ja też nie miałam żydowskiej urody. Pamiętam, jak mnie ojciec wysyłał czasami do kahału, to tam widziałam, że były jakieś zgromadzenia, rozmawiali Żydzi między sobą, a ja przychodziłam, czekałam grzecznie na swoją kolejkę, a tam zawsze jakiś Żyd się odezwał: „Co ta sziksa\* tutaj chce?”. Nie chciałam tam chodzić. I bardzo z powodu takiej urody cierpiałam, bo jak przyszłam do rodziny, to też mówili: „Obca, jaki ona ma wygląd?”. W domu, w szkole mówili na mnie Sabina, a nie Salomea. Moi bracia też używali spolszczonych imion, nie wiem, czy dlatego, że im ktoś doradził, czy dlatego, że taki czas był, że chcieli się za wszelką cenę zasymilować i przestać być tymi obywatelami drugiej kategorii.

Do szkoły poszłam jeszcze za Austrii, chyba w 1915 roku. Rodzice posłali mnie o rok wcześniej – jak miałam sześć lat, bo nie mieli co ze mną zrobić. Chodziłam do polskich szkół. W drugiej klasie już był obowiązujący język niemiecki. Rano modlitwę się mówiło: „Boże, ochroń nam cesarza i nasz kraj”. Tam, w Rzeszowie, jeszcze za cesarza, to skaut polski był bardzo rozwinięty. Austriacy nie przeszkadzali w tym, absolutnie nie. I ja pamiętam, że podczas 3 Maja i tych wszystkich świąt narodowych szkoły organizowały w rynku manifestacje. Tam był pomnik Kościuszki i pod tym pomnikiem wszyscy się gromadzili i śpiewali pieśni patriotyczne: „Patrz, Kościuszko, na nas z nieba, jak my wrogów będziemy gromić. I twojego miecza nam potrzeba, by ojczyznę oswobodzić”.

Matka moja była uczulona na punkcie, żeby nas nie prześladowano za pochodzenie. A ja chodziłam do takiej szkoły

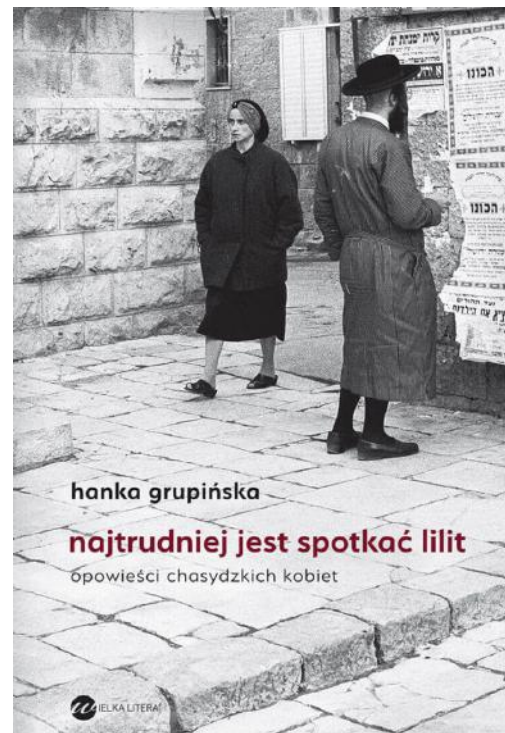
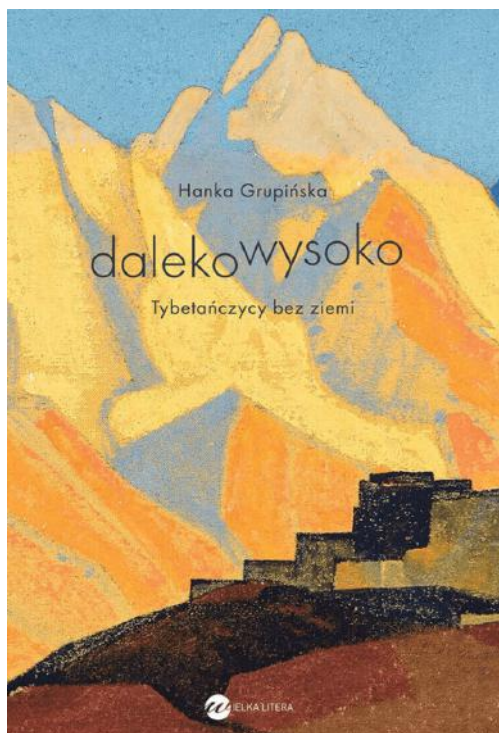
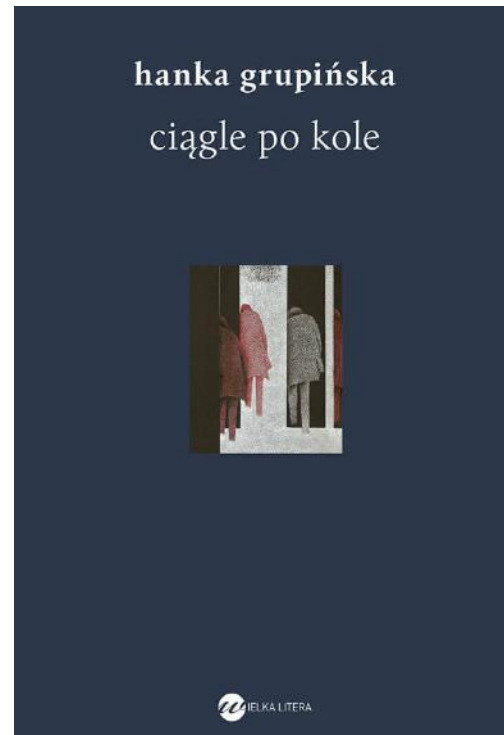
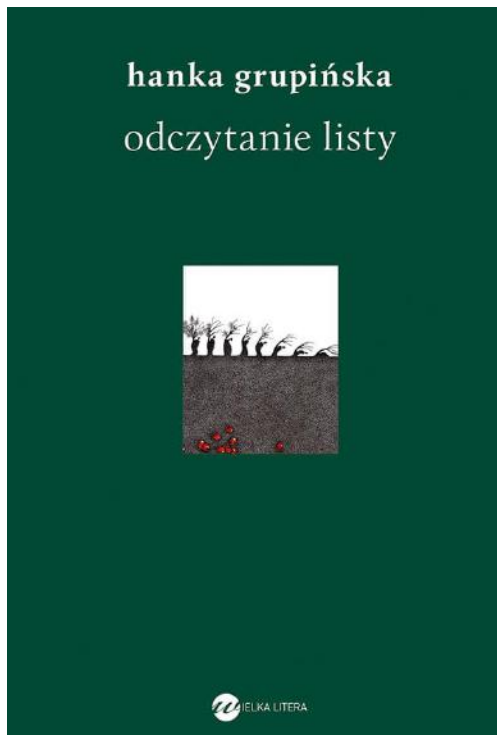
---

\* *szikse* (jid.) – młoda nie-Żydówka

podstawowej w Rzeszowie, gdzie dzieci pochodzenia żydowskiego były osobno w klasie, w innych ławkach. Ojciec mój nie mógł tego przeboleć. I on miał ambicje, żeby mnie z tej szkoły przenieść tam, gdzie nie było żadnej segregacji. Więc z piątej klasy czy z szóstej ojciec mnie zabrał do szkoły imienia Świętej Jadwigi, gdzie nie było w ogóle dzieci żydowskiego pochodzenia. Tam opiekowali się mną, dobrze mi było, bo ksiądz się mną zajmował. Przyszłam zupełnie wyobcowana. Stałam kiedyś na korytarzu, bo oni wypraszała – te katolickie szkoły – innowierców z lekcji religii. Ksiądz, bardzo młody, pamiętam, Józef Cieślik się nazywał, podszedł do mnie i pyta się mnie, czego ja tu stoję. To ja mu mówię dlaczego, a on mówi: „Stojąc tu, za dużo nie będziesz umieć, chodź”. Wziął mnie za rękę i poprowadził. Mówi: „Przyjdzie taki czas, że ci się to akurat może przydać”. Ksiądz mi takie prorocze słowa powiedział. Odtąd stale chodziłam na lekcje religii, chociaż nie bardzo mnie to interesowało i klasyfikowana nie byłam. Ten ksiądz miał dużą bibliotekę i miał zwyczaj na święta wypożyczać książki tym uczennicom, które chciały. Więc zapraszał do tej biblioteki, no i mnie też, naturalnie. A ja patrzyłam po tych wszystkich półkach z książkami i widzę *Quo vadis*. On mówi: „Nie mogę ci tego pożyczyć, bo to ojciec musi zezwolić”. No a ojciec mi powiedział: „Idź, nie zwracaj mi głowy, czytaj, co chcesz, przecież nie jesteś głupia”. W tej szkole byłam jedna Żydówka, to rodzice zapisali mnie do prywatnej szkoły hebrajskiej w Rzeszowie, gdzie uczyłam się języka hebrajskiego dwie godziny w tygodniu.

Rodzice tak za bardzo nie cackali się ze mną. Konie były, ale jak były konie gdzie indziej zajęte, to ja chodziłam trzy kilometry do tej szkoły, taki górzysty był tam teren. Śnieżyce, zimno, wiatr, to od jednego słupa telegraficznego do drugiego szłam, obejmowałam ten słup i odpoczywałam. Nikt się nie interesował, choć byłam jedyną córką. No matka mnie tak wychowywała: „Ja was mam siedmioro – mówiła – nie mogę wyjątków robić”.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)